

# ALASKA 2010

---

Agnieszka Buczkowska-Fertała  
&  
Marek Fertała



---

jesień 2010



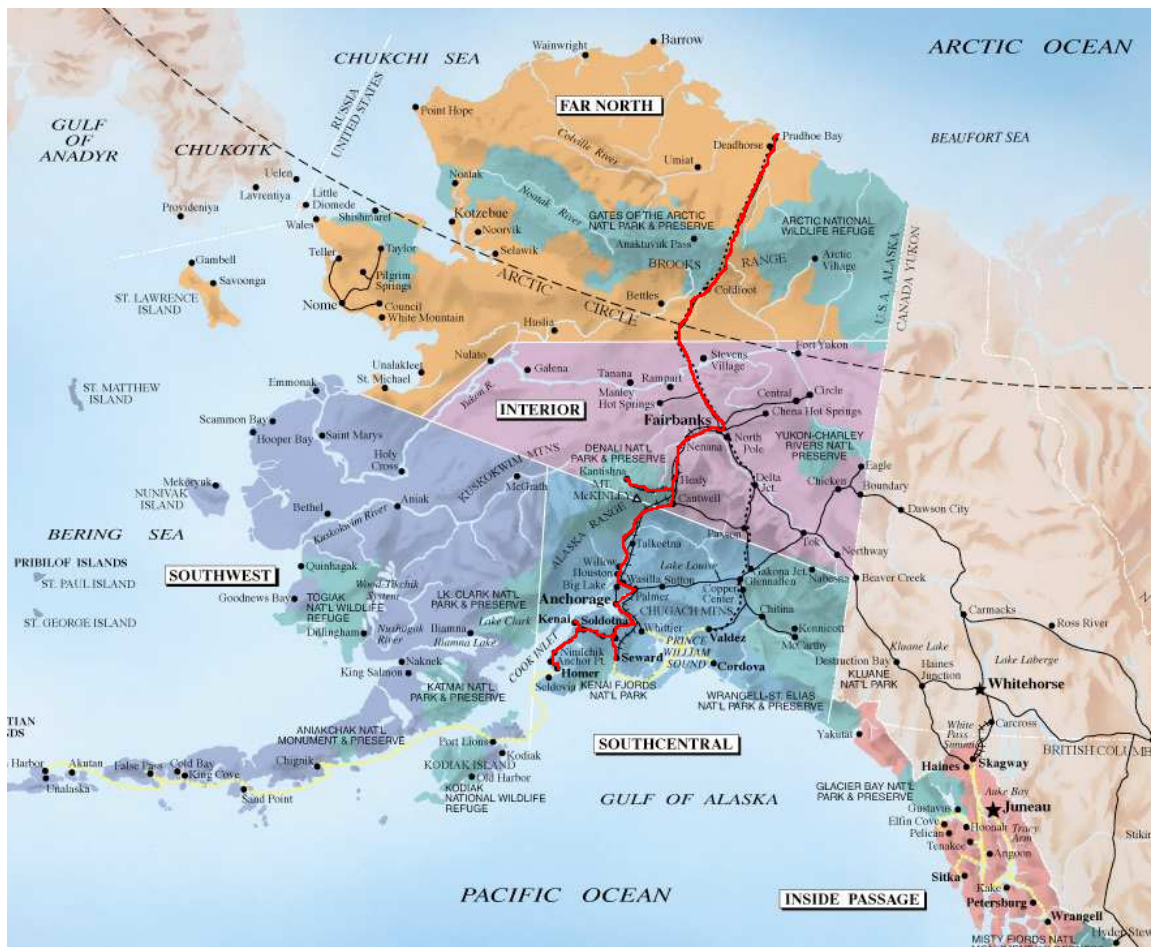
*Naszym alaskańskim gospodarzom i kierowcom, bez których  
podróż nie miałaby smaku...*

---

## Spis treści

---

1. Początek. Droga na Północ. . . . .	4
2. Góry Brooksa. Ocean Arktyczny. . . . .	8
3. Park Denali . . . . .	27
4. Kenai Peninsula . . . . .	35
5. Powrót . . . . .	45



---

## Początek. Droga na Północ.

---

*Chodź tam razem ze mną  
Prosto do kraju z moich snów  
Zaraz będzie dobrze  
Jeśli tylko chcesz  
Mogę nigdy się nie zbudzić  
Zostać w nierealnym świecie  
Odejść w sen i zapomnieć  
Choćby już ostatni raz  
[P.Sujka]*

**21.07.2010r., godz. 14:20  
nad Oceanem Atlantyckim**

Słowo DROGA zawiera w sobie pewną tajemnicę i pobudza we mnie chęć zdobywania, odkrywania tego, co nieznanego i na nowo tego, co znane. Alaska - odwieczne marzenie, kojarzy się z dziewiczą naturą, opuszczeniem tego, co marnotrawne na świecie, by znów żyć w zgodzie z przyrodą. Połączenie tych dwóch słów wzbudza przyjemny dreszcz emocji, oczywiście pozytywnych.

I oto lecimy - ja i mój ukochany mąż Marek odkrywać naszą wspólną Alaskę. To już trzecia godzina w samolocie nr 2 - trasa Frankfurt nad Menem - Houston. Pierwsza podróż Warszawa-Frankfurt przebiegła spokojnie. Było to półtorej godziny przyjemnego lotu z kawą i kanapką w reku liniami LOT. Obecna Lufthansa podała



*I oto lecimy.*



*Szczęśliwe lądowanie.*

makaron z sosem szpinakowo-pomidorowym z gorzką sałatką, na wierzchu której znajdowało się kilka mało apetycznych krewetek (no ale od czego ma się męża!). Na deser ciasto o mocno kwaskowo-cytrynowym smaku wcale nie poprawiło naszych humorów. Na szczęście obsługa jest miła, a sąsiedzi nie najgorsi. :-)

**21.07.2010r., godz. 22-23**

**w pobliżu Alaski**

Lot do Houston opóźnił się. Wieża nie pozwoliła lądować, być może z powodu burzy, co skutkowało półtoragodzinnym krążeniem nad Zatoką Meksykańską. Nie zdążyliśmy na planowany lot do Anchorage, ale obsługa lotniska szybko przebukowała bilety na dwie godziny później.

To jest najdłuższa, jak do tej pory, doba w życiu - 34 godziny. Lecimy wciąż i lecimy, ale nocy nie widać. Próżno jej tu szukać, na Alasce, o tej porze roku. Mareczek śpi, a ja mam nadzieję na szczęśliwe lądowanie i spokojną noc.

**23.07.2010r., godz. 19:50**

**Fairbanks**

”So we are here and we are hungry!” - żartowaliśmy w Wieluniu z bratem Marka - Maćkiem. Powiedzenie bardzo ans bawi, choć powoli zaczyna się sprawdzać...

Po przyjeździe do Anchorage, po dwóch godzinach szukania, rozbiliśmy namiot o 2:30 (świt) w tzw. ”dog park”. Rano zwiedziliśmy miasto, zaopatrzyliśmy się w gaz i mapę, a nawet zjedliśmy śniadanie (kawę + tosty z jajkiem sadzonym) za \$5,95.

Nad Cieśniną Cooke'a poznaliśmy bardzo sympatycznego Eskimosa, który przy pomniku Cooke'a zagadywał bogatych turystów amerykańskich, sprytnie przy tym zarabiając na życie. Trafił niestety na nas - etatowych sępów, od których nie mógł się wiele spodziewać, toteż stracił nami szybko zainteresowanie.



*Poznaliśmy bardzo sympatycznego Eskimosa.*

Anchorage przeszliśmy wzdłuż i wszerz pieszo. Na stacji benzynowej zagadało dwóch młodych chłopców - Taylor z Ohio i Leng z Alaski, widząc, jak piszę tabliczkę "NORTH". Zabrali nas na zjazd do Palmer. Tam, przy drodze, czekaliśmy ponad godzinę, zanim Amerykanka Shalina podwoziła nas do Wasilli, gdzie zaopatrzyliśmy się w lokalnym sklepie spożywczym. Gdy ustawiliśmy się znów na drodze, usłyszeliśmy głosy wołających z bocznej dróżki Erica i Natallie. Było to młode małżeństwo z Wisconsin, które przyjechało na Alaskę w celach zarobkowych i w ramach trzydniowego urlopu wybrało się do Denali Park. Rozstaliśmy się z nimi w Cantwell, gdzie postanowiliśmy rozbić obóz.



*Stanęliśmy na drodze wiodącej na północ,  
w kierunku Fairbanks.*



*Na wzgórzu za Fairbanks.*



*Visitor center.*

Następnego dnia, około godziny dziesiątej, znów zwarci i gotowi stanęliśmy na drodze wiodącej na północ, w kierunku Fairbanks. Było wietrznie, zimno i deszczowo. Zmarzliśmy. Po dwóch krótkich stopach z Cathrine (Cantwell - Denali) i lokalnym handlarzem odzieży (3 mile) trafiliśmy na Dana, który jechał do Fairbanks. Droga była miła, pod znakiem muzyki country. Dan zawiózł nas do sklepu, gdzie zaopatrzyliśmy się "bear spray" (\$40), za którego połowę zapłacił. Rozstaliśmy się w miejscowym centrum turystycznym.

Leżymy teraz w namiocie i pijemy piwo, które ofiarował nam Dan podczas pożegnania. Namiot rozstawiliśmy w lesie na wzgórzu za Fairbanks, dokąd zawiózł nas zapoznany w "Visitor center" pracownik Brett. Jest przyjemnie, choć komary bezwzględnie atakują. W takich sytuacjach najlepiej sprawdza się moskitiera zakupiona jeszcze w Polsce za 14zł. Gdy zostaję sama, ogarnia mnie lęk przed spotkaniem grizzly. Staram się jednak o tym nie myśleć, choć myśli bywają czasem silniejsze. Wkroczyliśmy w dzikość. Dzika przyroda jest nieodłączną cechą Alaski i musimy się z tym liczyć, będąc właśnie tutaj.



---

## Góry Brooksa. Ocean Arktyczny.

---

*Być może twierdzisz, że to wzgórze jest dla mnie zbyt strome.  
By się wspiąć, zmierzyć się.  
Chciałbyś zobaczyć dlaczego ja próbuję je zdobyć.  
Wyznacz miejsce, a ja wybiorę czas.  
Będę zdobywał to wzgórze własną drogą,  
poczekam tylko na właściwy moment.  
Wznoszę się ponad linię drzew i chmur,  
Spoglądam w dół i słyszę echo.  
Nigdy nie jesteś sam, nigdy.  
Nie ustawaj, rusz z nadzieją w sercu,  
A nigdy nie będziesz sam.  
Nigdy!  
[David Gilmour]*



*Jedziemy na Północ..*

25.07, godz. 22:00

obóz 1, Jezioro Galbraith, Góry Brooksa, dzień 1.



*Rzeka Yukon, 56 mila, Dalton Highway*

Wczoraj około godziny 21 dotarliśmy do miejsca, które wyznacza pewną sztuczną granicę. Jest to miejsce, gdzie Słońce w czasie przesilenia letniego nigdy nie zachodzi, zimowego zaś nigdy nie wschodzi. Człowiek nazwał ten równoleżnik kołem podbiegunowym ( $66^{\circ}33'$ ). Nie odmówiliśmy sobie, rzecz jasna, zdjęcia w stylu iście amerykańskim - ze sztucznie szerokim uśmiechem i luźnej pozie. Od wczoraj podróżujemy volkswagenem jetta z Ari i Jacksonem - dwójką młodych ludzi z Portland w stanie Oregon. Jest dość zabawnie, udziela mi się amerykański slang i odzywki: "yeah", "that's great", "pretty cool" oraz wiele innych. Dziś około godziny 12 dotarliśmy do Coldfoot, gdzie w lokalnym Visitor Center obejrzelśmy film edukacyjny o zachowaniu się w górach. Dostaliśmy też odznaki Parku Narodowego Gates of the Arctic.



*Miejsce, gdzie Słońce w czasie przesilenia letniego nigdy nie zachodzi*

Jest godzina 22, Słońce wciąż wysoko. Bardzo ciepły dzień. Mimo, że to Arktyka, leżymy w krótkich rękawkach w namiocie. Jest duszno, ale komarów tak dużo, że nie odważyliśmy się siedzieć na zewnątrz. Ich ugryzienie powoduje opuchliznę.



*Podróżujemy volkswagenem jetta z Ari i Jacksonem*



*Komarów tak dużo.*



*W naszym Brooksie.*

W Coldfoot dostaliśmy "bear boxes"- pojemniki, które służą jako ochrona jedzenia przed niedźwiedziami. Właśnie skończyliśmy segregować żywność zakupioną wczoraj w Fairbanks na najbliższe trzy tygodnie.

I oto jesteśmy w naszym Brooksie. Jutro zaczynamy trekking. Góry są naprawdę dzikie. Wokół tundra, dzikie zwierzęta i garstka ludzi na kampie.

**26.07, godz. 9:30**

**dzień 2.**

Wstaliśmy dziś o 8:15. Lato w Arktyce ma tę dziwną cechę, że odróżnienie dnia od nocy bez posiadania zegarka staje się wręcz niemożliwe. Dla ludzi takich jak my, z Europy, tylko zegarek jest dobrym wskaźnikiem pory dnia.

Inną sprawą jest fakt, że czas na Alasce toczy się swoim tempem. Lokalna ludność żyje bardziej porami roku - od zimy do lata i od lata do zimy - niż porą dnia. Ma to tę zaletę, że nikt się tu nie spieszy, co w krajach europejskich wydaje się wręcz niemożliwe.

Komary są wszędzie. Komary i tundra - te pojęcia występują tu nieodłącznie. Do nich trzeba się po prostu przyzwyczaić, choć dla mieszkańców starego kontynentu to nie jest łatwe zadanie. Ruszamy właśnie w góry. Opuszczamy kampus nad jeziorem, ubrani w moskitierę i rękawiczki. Po dwóch dniach wspólnej drogi rozstajemy się z Ari i Jacksonem.

**26.07, godz. 20:32**

**nad źródłem o nieznanym nazwie..**

"Is the trunk empty? - zapytał Marek.

"Yeah, it's full" - odpowiedział Eric.

Tak wyglądała rozmowa z Amerykanami w czasie autostopu. I jak tu myśleć o nich inaczej? Mareczek może być innego zdania, ale w jednym na pewno jesteśmy zgodni - dużo lepiej jest w dzikich górach daleko od drogi, mimo śladów niedźwiedzi, karibu i innych zwierząt. Przestrzeń, która nas otacza, jest naprawdę nieskończona. Wędrujemy po tak zwanej wiecznej zmarzlinie, gdzie na głębokości jednego metra grunt zamrożony jest przez cały rok. Żyją tu muchy, komary, rzadko pająki. Komary arktyczne różnią się od europejskich komarów. Te pierwsze wygrywają nawet z wiatrem, są bardzo wytrwałe w osiągnięciu celu. Trzymają się kurczowo ofiary, aż zaspokoją swoją krwistą potrzebę. Jeśli chodzi o roślinność, to nie spotka tu człowiek żadnego drzewa ani krzewu wyższego niż 30cm. Tylko mchy, porosty, trawa. I dużo wody. Góry te są dobrze uwodnione, co jednocześnie stanowi wybawienie (do i tak ciężkich plecaków nie trzeba przytrzymać wody) i katorgę (komary!). Wiele tu ptactwa, które skrzeczy wesoło i najprawdopodobniej jest najmniej dzikie wśród zwierząt tu występujących.

Pogoda nam sprzyja, jest wiele chmur, ale bez deszczu, a czasem pokaże się też słońce. Arktyczna rzeka jest bardzo zimna, nawet latem, i przekraczanie jej, poza odwieczną walką z komarami, jest jedną z najmniej przyjemnych rzeczy.



*Tylko mchy, porosty, trawa*

*Przeszliśmy kawałek w stronę góry Kiev, ale okazało się że podejście od strony północnej jest zbyt trudne, szczególnie z tak ciężkimi plecakami. Skierowaliśmy się więc w kierunku południowo-zachodnim, aby przez przełęcz przedostać się do doliny rzeki Itikmalak, a później obejść dookoła masyw, nad którym góruje Kiev i zaatakować od południa. Dziś nie przeszliśmy dużego dystansu. Dopiero uczymy się poruszać po tundrze. Teraz gdy to piszę, jesteśmy rozbici około siedmiu kilometrów od jeziora Galbraith, skąd wyruszyliśmy na naszą wędrówkę.*

**27.07, godz. 22:15**

**obozowisko trzecie, w dolinie rzeki Itikmalak**

To drugi dzień wędrówki po tundrze - wśród komarów, po bagnach i mokradłach. Jesteśmy tu z Mareczkiem całkiem sami, zdani tylko na siebie. Nie spotkaliśmy tu jeszcze ani jednej żywej duszy - ani człowieka, ani zwierzyny (nie licząc małego gryzonia). Jesteśmy w namiocie. O tropik rozbijają się krople deszczu. Słychać też komary, które odporne są na pogodę. Podczas wędrówki spotykamy ślady wilków, niedźwiedzi. Od czasu do czasu na mchu leżą porzucone poroża karibu. Posiłki zmuszeni jesteśmy przygotowywać kilkadziesiąt metrów od obozu ze względu na bezpieczeństwo - wszelki zapach przyciąga grizzly. Właśnie gotujemy wodę na herbatę i szykujemy się do "nocy", to znaczy do spania, bo zjawiska nocy nie zaznaliśmy już od trzech dni...

*Dzisiaj zeszlismy z przełęcz i cały dzień szliśmy w górę rzeki Itikmalak. Pogoda dobra, tylko dwa razy popadało. Obiad zjedliśmy nad rzeką, rozpaliwszy małe ognisko na kamieniach. Zupa w proszku firmy "Bear Creek" okazała się wydajna i nawet smaczna. Tak jak wczoraj, nie widzieliśmy żadnych zwierząt zamieszkujących te góry, oprócz kilku małych ptaków.*

**28.07, godz. 12:00**

**wciąż obóz trzeci**

Zmienił się wiatr i znad jezioro Galbraith nadciągnęły niskie chmury. Czekamy w namiocie na poprawę pogody, ale wciąż pada i pada. I nie zapowiada się, żeby coś miało się zmienić.

*Ani jeden niedźwiedź nie odwiedził nas w nocy, jedzenie również nie było ruszone. Żyje coś w ogóle w tych górach?.*

*Wieczór: Nadal obozujemy w tym samym miejscu. Ciągle pada.*

**29.07, godz. 19:00**

**dolina rzeki Itikmalak, obóz czwarty**

Wyruszyliśmy w trasę dopiero dziś o 11:00. Pogoda bez zmian, ale siedzieć w jednym miejscu też nieciekawie. Po czterech godzinach drogi rozbiliśmy namiot w górze rzeki Itikmalak, ledwo zdążywszy przed deszczem... Miejsce, w którym się teraz znajdujemy, trochę nas przeraża. Wieje silny wiatr, pada deszcz, a w okolicy znaleźliśmy szczątki zjedzonych karibu. Boimy się grizzly i nasłuchujemy jego kroków. Chmury zaciągnęły na dobre, choć jeszcze mamy nadzieję, że może akurat...

Tak niedaleko już do góry Kijów. Ale w taką pogodę na pewno nie będziemy próbować jej zdobyć.

Wygląda na to, że utknęliśmy tu sami, wśród dzikiej natury. Od czterech dni nie spotkaliśmy nic żywego w tych górach (pomijam oczywiście wszechobecne komary). Tęsknimy za polskimi górami, polskim dobrym chlebem...

Jest zimno, ale puchowe śpiwory z pierza gęsiego sprawdzają się. Zastanawiamy

---

<sup>0</sup>Od Autora: Później zupa tak mi zbrzydła, że niedobrze się robiło na samą myśl o niej.



*Nadciągnęły niskie chmury.*



*Kawałek błękitu nieba.*

się czasem, pół żartem pół serio, czy niedźwiedzie lubią gęsi na kolację. I pieszczotliwie nazywamy się "gąskami".

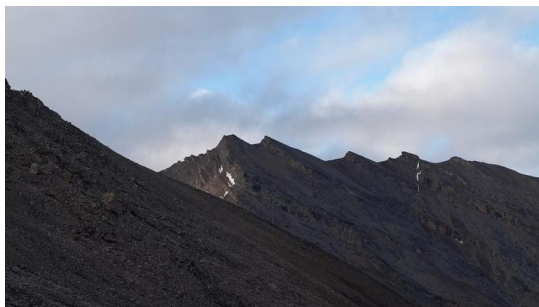
*Uszliśmy może cztery kilometry od miejsca naszego podwójnego noclegu. W wędrówce przeszkodził nam zimny, arktyczny deszcz. Buty mamy całkowicie przemozone od stąpania po gąbce mchów i traw. Na nic zdała się impregnacja, membrana też szybko puściła. Zobaczymy jaka pogoda będzie jutro rano. Jeśli dalej deszczowa, to wracamy w stronę jeziora Galbraith...*

**31.07, godz. 21:00**

**blisko przełęczy 5030ft nad strumieniem obok góry stołowej**

*30.07*

Wczoraj opuściliśmy obóz około godziny 11:30, zrezygnowani, niezadowoleni, że trekking z powodu złej pogody musi być przerwany. Uszliśmy może kilkaset metrów, gdy nad naszymi głowami Mareczek ujrzał małe przejaśnienie - kawałek błękitu nieba, którego nie oglądaliśmy już trzeci dzień. Promyk nadziei ogrzał nasze serca. Postanowiliśmy ruszyć w górę po kamieniach, aby zrobić małe rozeznanie. Stok był stromy, jednak po godzinie zdobyliśmy nienazwany szczyt po krótkiej wspinaczce przy samym wierzchołku na wysokość 1736m n.p.m. Bardzo się ucieszyliśmy, zwłaszcza że to w końcu Arktyka! Rozochoceni postanowiliśmy powalczyć z kamieniami, a przede wszystkim z samym sobą. Przeprawa okazała się dużo bardziej niebezpieczna niż wyglądało to niżej. Naszym celem było podejść jak najbliżej Góry Kijów i (być może) zmierzyć się z nią. Bardzo strome podejście, śliski grunt osuwający się pod nogami, spadające kamienie w przepaść z takim impetem i hałasem, że czuć było



*Kijów.*



*Dotarliśmy bezpiecznie  
na wysokość około 1700m n.p.m.*

w nozdrzach zapach siarki i krzemionki. Doszliśmy, do dziś nie wiem jakim cudem, na wysokość 2040m n.p.m. Byliśmy prawie na przełęczy łączącej górę Kijów z inną górą o nieznanym nazwie, na stoku której zmuszeni byliśmy przerwać wędrówkę i dalszą wspinaczkę, gdyż zastała nas tam przepaść! Była już godzina 21, a my bardzo zmęczeni czuliśmy każdy mięsień. Nogi uginały się pod ciężarem plecaków z całym dobytkiem i potykały o skały. Utknęliśmy w martwym punkcie. Podjęliśmy niełatwą decyzję, aby zejść niżej i rozbić obóz. Dotarliśmy bezpiecznie na wysokość około 1700m n.p.m., gdzie rozstawiliśmy namiot. Była już prawie północ...

Większość ludzi zada pytanie: "Po co się tam pchać?". Człowiek nie mierzy się z górą. Człowiek mierzy się sam ze sobą, pokonuje siebie, własne słabości. Każda mała przeprawa przez przeszkodę na drodze uszlachetnia. Człowiek nie jest już tym, kim był. Staje się lepszy. Jeśli w trakcie takiej drogi towarzyszy nam droga sercu osoba, dziwnym staje się fakt, że osoba ta staje się przez nas mocniej kochana. Bardziej doceniamy jej bliskość w szarości dnia. Cieszę się, że nasza "przeprawa", mimo dużego zmęczenia, udała się...

*Jesteśmy bardzo zmęczeni i wyczerpani. Dziś rano z żalem ruszyliśmy z powrotem w stronę doliny Itikmalak, jako że pogoda nadal była nie najlepsza. Pochmurno, ale bez deszczu. Postanowiliśmy jednak wejść na pobliski grzbiet, aby spojrzeć z niego na północ, skąd wiało, i wypatrzeć oznaki lepszej pogody. Pogoda zaczęła się poprawiać podczas podchodzenia i wczesnym popołudniem stanęliśmy na szczycie o wysokości 1731m n.p.m. Nastroje od razu się poprawiły, gdy zobaczyliśmy pasmo Brooksa z wyższej perspektywy.*





*Strome podejście, śliski grunt.*



*Opuściliśmy obóz u źródła rzeki Itikmalak.*

*31.07*

Dziś opuściliśmy obóz u źródła rzeki Itikmalak i udaliśmy się wzdłuż jej doliny w drogę powrotną. O 15 zjedliśmy nad rzeką obiad - supkę brokułową z serem Cheddar, zdziwieni brakiem komarów. Wczorajszy dzień bez komarów był zrozumiały ze względu na wysokość. Był słoneczny dzień i wiał przyjemny wietrzyk. Postanowiliśmy przedłużyć pobyt w górach i zdecydowaliśmy się przejść za górą stołową przełęczą w kierunku jeziora Itkillik. Jesteśmy właśnie w naszym obozie niedaleko przełęczy. Nie spodziewaliśmy się jednak takiego ataku komarów. Widzieliśmy po drodze ślady i odchody grizzly, toteż zmuszeni byliśmy jeść poza namiotem, aby spać spokojniej. Leżymy już w śpiworach, zmęczeni ostrą walką z komarami w trakcie kolacji. Znow nadciągnęły chmury...

*Dzisiaj przeszliśmy całkiem spory odcinek, co jest tym większym osiągnięciem, że suma zejść i podejść była bardzo duża. Rano opuściliśmy obóz w okolicach źródeł Itikmalak, zeszliśmy do jej głównej doliny, a po obiedzie przygotowanym na ognisku nad rzeką przekroczyliśmy ją i rozpoczęliśmy podejście na przełęcz łączącej dolinę Itikmalak i "dolinę bez nazwy" (patrz mapka). Przełęcz powinna być bardzo ładna widokowo, gdyż do "doliny bez nazwy" spływają lodowce z wysokiego grzbietu górującego nad przełęczą. Teraz siedzimy w namiocie, ukryci przed stadami komarów próbującymi się do nas dostać przed moskitierę namiotu. podejście pod przełęcz było prawdziwą masakrą: parno, duszno i do tego miliony komarów. W takich warunkach idzie się naprawdę ciężko, szczególnie że mimo gorąca trzeba być szczelnie ubranym. Wie-*



*Zjedliśmy nad rzeką obiad -  
- zupę brokułową z serem Cheddar.*



*Góra Stołowa.*



*Przechodzimy rzekę.*



*Blisko przełęczy.*

*czorem komary rozwściekły się jeszcze bardziej, tak że mniej więcej jeden komar na dziesięć sekund wpadał nam do puree ziemniaczanego, które przygotowaliśmy na kolację.*

**01.08, godz. 16:00**

**Obiad nad strumieniem spływającym z przełęczy łączącej dolinę rzeki Itikmalak**

**(dlaczego to wszystko jest takie nienazwane?...)**

Dziś pogoda znów ładna, mimo że wczorajsze wieczorne chmury trochę nas przestraszyły. Jest parno, a na niebie rozpościera się chmura w postaci delikatnej mgiełki.

Jemy zupki chińskie - ja kurczakową o barwie żółtej, Mareczek - wołowinową



*Jezioro Itkillik o zmierzchu.*



*I raniem.*

barwy czerwonej. Bardzo mnie zastanawia, skąd taki dobór kolorów? Smaki wydają się takie same, a chyba tylko przez autosugestię z powodu barwy mogą wydawać się różne.

Przeszliśmy przełęcz i zmierzamy w kierunku jeziora Itkillik. Przed nami jeszcze daleka droga. Dzień wędrówki siódmy. Brak żywych istot...

### **01.08, godz. 22:00 nad jeziorem Itkillik**

Rozbiliśmy obóz nad jeziorem Itkillik. Droga do niego była długa, z podejściami. Podłoże stanowią tu gąbczaste mchy, bagna i tzw. *tussocks* - kępy traw, po których skacze się, aby nie wpaść do zagłoniałej wody. Wędrówka taką tundrą jest naprawdę wyczerpująca. Znaleźliśmy suche miejsca na wzgórzu, ale brak tu strumienia. Do jutra musimy sobie radzić bez wody. Widoki są piękne, ale droga nas bardzo zmęczyła tak, że chcemy stąd ruszać z samego rana. Mamy nadzieję, że te bagna szybko się skończą...

### **02.08, godz. 22:00 ostatni obóz w Górach Endicotta, nad strumieniem, przełęcz między doliną rzeki Itikmalak a końcem gór**

Rano około wpół do jedenastej opuściliśmy obóz nad Jeziorem Itkillik, okrążyliśmy pobliskie pasmo gór i skręciliśmy w dolinę rzeki Itikmalak. Około czternastej dotarliśmy do strumienia, nad którym wczoraj jedliśmy obiad. Wędrówka po zabagnionym terenie i skakanie po kępach trawy bardzo nas zmęczyły. Każdy krok po



*Kąpiel.*



*Ostatni obóz w górach.*

kępie wymaga koncentracji, aby nie wpaść do stojącej wody, a kępy wcale nie są stabilne... Takie skakanie” po tundrze trwa dwa razy dłużej niż trekking polskim górskim szlakiem. Do tego należy pamiętać, że każde poruszenie źdźbła trawy powoduje pojawienie się chmury komarów, czekających na ofiarę.

To już ósmy dzień wędrówki. Nad rzeką Itikmalak, gdzie jedliśmy dziś obiad, spotkaliśmy ślady najprawdopodobniej wołu piżmowego. Z żywej zwierzyny zarejestrowaliśmy trzy ptaki wyglądem przypominające polskie przepiórki i krążące nad głowami ptaka drapieżnego, być może orła. Oznak ludzkości brak.

Od dziesięciu dni jesteśmy całkowicie odcięci od świata: zero telefonów, zero radia, zero TV, zero wiadomości o świecie, od rodziny...

*”Society, you’re a crazy breed.*

*I hope you’re not lonely, without me!”*

Nie wiemy, czy na świecie panuje wciąż względny pokój, czy ktoś został prezydentem, czy... (można by tego mnożyć a mnożyć...). Jesteśmy tu sami zdani na siebie. To wywołuje uczucie małości i zarazem wielkości.

*Przestrzeń tutejsza ogromna.*

*”Dalej niż sięga myśl, wiodą tu ślady stóp...” Naszych stóp..*



*Kończy się Brooks.*

**03.08, godz. 10:00**

**dzień 10**

Wędrówka po tundrze ma jeszcze jedną wadę. Wiecznie mokra ziemia i roślinność "wcierają się" w buty powodując, że są one cały czas mokre. Dobrze sprawdza się zasada: *"Prepare to be hiking in wet shoes"* (Bądź przygotowany do wędrówki w mokrych butach). Mokre buty bardzo obcierają nasze nogi. Z Mareczkiem postanowiliśmy rozpocząć w Polsce trening przystosowujący nas do chodzenia bosy, co pozwoli odzyskać elastyczność stóp.

**03.08, godz. 18:30**

Kończymy naszą przygodę w Brooksie. Piszę to, pijąc kawę i przegryzając batonika orzechowego w obozie nad jeziorem Galbraith. Jesteśmy wyprani i wykąpani od stóp do głów w zimnym strumieniu. Na kampie spotkaliśmy w końcu ludzi - czwórkę Niemców (trzech chłopaków i dziewczynę), którzy wrócili właśnie z czterodniowego trekkingu po pobliskich górach. W oddali znajduje się jeszcze obóz z dwoma namiotami i samochodem.

Na kempingu grasują też gryzonie - wiewiórki, nauczone znajdować resztki żywności pozostawione przez obozowiczów. Zwierzęta w Brooksie dzielą się na dwa typy. Pierwszy - dziko żyjący w górach - wysyła sygnały ostrzegawcze o nadchodzących

intruzach i szybko chowa się do norki. Drugi typ to oswojone gryzonie, czekające z utęsknieniem na ludzi, którzy na pewno mają przy sobie dobre jedzonko. Takie zwierzęta wysyłają sygnały nie ostrzegawcze, a nawołujące kolegów na ucztę. Tak więc żyją tu dwie różne, ale przenikające się populacje zwierząt. Ta pierwsza - prawie nieuchwytna dla ludzkiego oka - daje się poznać po zostawionych na błocie śladach. Druga - jest wręcz bezczelna w podchodzeniu do ludzi i osiągnięciu celu - resztek jedzenia.



*Daje się poznać po zostawionych śladach*

*Dziś po południu wróciliśmy nad jezioro Galbraith. Spędziliśmy dziesięć dni w górach Endicott wchodzących w skład pasma Brooksa.*

*Jakie są te góry? Na pewno dzikie i mało uczęszczane. Przez dziesięć dni naszej wędrówki nie spotkaliśmy żadnego człowieka. Niedźwiedzie, karibu i woły pizmowe też*



*Wręcz bezczelna w podchodzeniu do ludzi i osiągnięciu celu - resztek jedzenia.*

trzymały się od nas na tyle daleko, że nie odnotowaliśmy ich obecności. Tylko tropy tych dużych zwierząt świadczyły o tym, że gdzieś tam są. Wszędzie są za to nory różnych gryzoni, np. arktycznych wiewiórek ziemnych. Czasami którąś z nich udaje się dostrzec. Pospolite też są małe ptaki o ładnym głosie. Czasami nad górami widać kołujące ptaki drapieżne.

Wyższe partie gór są bardzo trudne technicznie. Granie są poszarpane i złożone z osuwających się skał. Udało nam się wejść na jedną z wyższych grani, skąd rozpościerał się przepiękny widok na panoramę Brooksa w kierunku południowym. Niestety nie zdobyliśmy żadnego z wysokich szczytów; wspinaczka na nie okazała się zbyt trudna jak na nasze możliwości.

Co ciekawe, te arktyczne góry są prawie pozbawione śniegu i lodu. Oczywiście są lodowce, ale spływają tylko z najwyższych gór i nie są zbyt okazałych rozmiarów. Myślę, że tajemnica tkwi w niezachodzącym Słońcu w czasie polarnego lata. W niektóre dni, tak jak dzisiaj na przykład, grzeje ono nadzwyczaj mocno.

Pogoda w Brooksie potrafi zmieniać się gwałtownie. Czasami wystarczy pół godziny, aby błękitne niebo pokryło się szczelną warstwą chmur. Podczas naszej wędrówki padało przez dwa dni. Chodzenie po tundrze w takich warunkach oznacza całkowicie przemoczone buty. Podłoże składa się przeważnie z mchów, porostów i wielkich kęp traw. Nawet po kilku dniach słonecznej pogody grunt nasiąknięty jest wodą. Woda w Arktyce nie ma gdzie wsiąkać ze względu na wieczną zmarzlinę, która zaczyna się już nawet metr pod powierzchnią terenu.

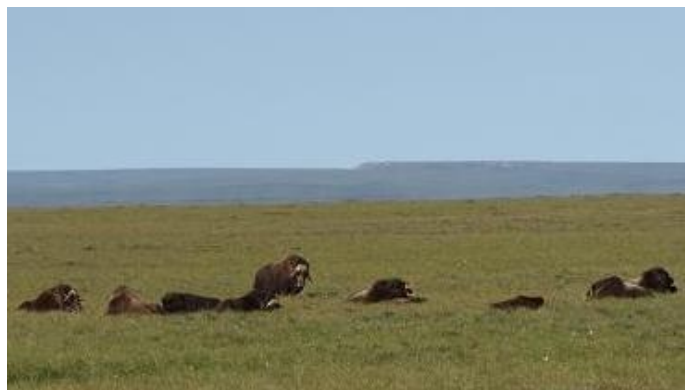
Jutro rano idziemy na Dalton Hwy łapać stopa na północ – do Deadhorse. Stamtąd udamy się nad Ocean Arktyczny.

**04.08, godz.18**

**Deadhorse**

*I won't be the last  
I won't be the first  
Find a way to where the sky meets the earth  
It's all right and all wrong  
For me it begins at the end of the road  
We come and go...  
[E. Vedder]*

Jest ciepłe popołudnie. Rozbiliśmy namiot na "polanie" w Deadhorse blisko Dalton Highway, gdzie dostaliśmy się w południe Land Roverem z parą z RPA, których złapaliśmy na obozie nad jeziorem Galbraith.



*Stado wołów piżmowych*

Dalton Highway jest bardzo specyficzną drogą. Jest wąska, a pobocze miękkie. Nawierzchnia zbudowana jest z piasku i kamieni utwardzanych latami przez przejeżdżające nią ciężkie samochody. Asfalt znajduje się między milą 37 a 49, 90-175 (Coldfoot) oraz 335-362. W zależności od pogody dużo tu kurzu lub błota. Pojazd wznosi się, to opada. Należy uważać także na ostre zakręty i ciężarówki, które mają tu pierwszeństwo. Na ostatniej, 414 mili, znajduje się kolonia robotnicza Deadhorse, gdzie na dwutygodniowych zmianach pracują przejezdni robotnicy z całego świata.

W Arctic Caribou Inn dokonaliśmy rejestracji na wycieczkę nad Ocean Arktyczny, gdzie dostać się na własną rękę jest niemożliwością. Nocleg w hotelu kosztuje \$190, co skutecznie zniechęca nas do tego miasteczka. Mężczyzna w centrum wskazał nam (pomimo powszechnie obowiązującego zakazu kempingowania) miejsce na rozbić namiotu, w którym właśnie się znajdujemy. Przez centrum rozumie się jedyny budynek, w którym mieści się wszystko: sklep spożywczy, poczta, pamiątki, części mechaniczne. Oczywiście to "centrum" znajduje się daleko od środka miejscowości, ale jest tu cicho i przyjemnie. Udajemy się teraz na pocztę wysłać kartki.

**06.08, godz.20**

### **Fairbanks**

Wczoraj o godzinie ósmej rozpoczęła się wycieczka nad ocean. Tego dnia wstaaliśmy wcześniej rano, o 5:30, choć na siedemdziesiątym równoleżniku dzień trwa 24





*Pomimo powszechnie obowiązującego zakazu kempingowania.*



*Ceremonia kąpielii.*

godziny o tej porze roku. O 7:20 byliśmy w hotelu Arctic Caribou Inn, gdzie zaczynała się wycieczka. Postanowiliśmy skusić się na śniadanie za \$15, gdzie można było jeść, co dusza zapragnie: jajecznica, płatki, zapiekany ryż, dla Marcuszka bekon i kiełbaski, wszystkie owoce i ciasta świata. Siedzieliśmy do oporu. O ósmej zebraliśmy się na wyznaczone miejsce zbiórki.

Początkowo przewodnik włączył dwudziestominutowy film o wydobywaniu ropy i budowie ropociągu, następnie wsiedliśmy do małego busa (było nas siedem osób), by ruszyć osiem mil na północ, nad ocean. Wycieczka trwała dwie godziny. Przewodnik-kierowca dowcipnie opowiadał o Deadhorse, robotnikach tu żyjących, koncernie BP. Każdy z uczestników dostał ręcznik, więc jak tylko dotarliśmy na miejsce, rozpoczęła się ceremonia kąpielii, która ograniczyła się do zamoczenia nóg w oceanie o temperaturze wody 3°C.

Niesamowite uczucie - dotrzeć w takie miejsce. Zimne, puste, ogromne... Wiele tam niedźwiedzi, karibu, lisów. Tworzą zabawny obraz wraz z rurociągami ropy.

Po wycieczce udaliśmy się na Dalton Highway w drogę powrotną. Może po 45 minutach stania zatrzymało się dwóch młodych mężczyzn - Brett i Joe - myśliwych polujących na karibu, którzy zabrali nas 60 mil na południe. Zostawili nas pośrodku niczego, ale na szczęście zatrzymał się zaraz kierowca ciężarówki. O północy sto mil przed Fairbanks rozbiliśmy namiot i przespaliśmy się cztery godziny, po czym znów ruszyliśmy dalej. Mike zostawił nas pod marketem "Fred Meyer" o siódmej w Fairbanks. Tam zaopatrzyliśmy się w produkty spożywcze. Odezwała się też Jamie z Hospitality Club, z którą staraliśmy się skontaktować w czasie poprzedniego pobytu w tym mieście. Jamie gości nas właśnie w swoim drewnianym domku. Jesteśmy teraz



*Na Dalton Highway w drogę powrotną.*



*O północy sto mil przed Fairbanks  
rozbiliśmy namiot.*



*Fred Meyer.*



*U Jamie.*

sami z jej kotem i czterema psami. Wykąpaliśmy się, zrobiliśmy pranie. To będzie nasza pierwsza noc w domu poza namiotem, odkąd jesteśmy na Alasce.

## **Drzewa**

Opuszczanie północy Alaski i podróż na południe jest naprawdę przyjemna. Kocham drzewa. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie rozstałam się z nimi na dwa tygodnie... Teraz są blisko i dają cień w ciepłe, słoneczne popołudnie.

## **O autostopie słów kilka**

Przeciętna rozmowa z kierowcą wygląda często podobnie. Wpierw krótkie rozpo-

znanie: co? po co? dlaczego? I zdziwienie, że można w taki sposób spędzić podróż poślubną. Potem chwila ciszy, po czym kierowca włącza swoją ulubioną muzykę i czas leci w tym miłym bądź niemiłym słuchaniu. Jeżeli autostop trwa dłużej, rozmowa schodzi na poważniejsze tematy - politykę, religię, kryzys gospodarczy itp.

---

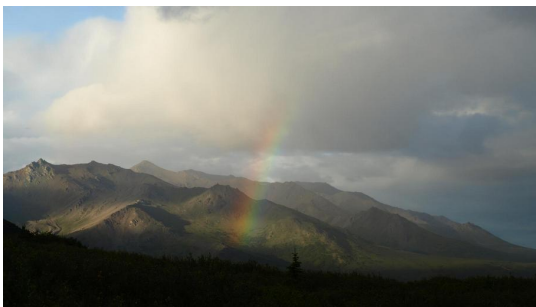
## Park Denali

---

*Porzuć świadomy umysł  
Znajdź siebie, by być gotowym!  
Mój cień biega ze mną pod wielkim rozległym słońcem..  
Puste kieszenie umożliwią poczucie wspanialszego bogactwa.  
Subtelne głosy na wietrze.  
Słyszę prawdę, którą mówią  
Świat zaczyna się tam, gdzie kończy się droga  
Spójrz na mnie zostawiającego to wszystko za sobą  
Daleko za sobą...  
[E. Vedder]*

08.08, godz. 20:00

Park Denali, Intermittent Creek, obóz drugi



*Po przejściu kilku kilometrów  
rozbiliśmy obóz pierwszy.*



*Pojawił się łoś.*



*Złapaliśmy autobus.*

*07.08*

Jesteśmy w Denali. Opuściliśmy wczoraj dom Jamie w Fairbanks i jednym stopem z Niemcem Klausem przejechaliśmy do *Wilderness Access Center* Parku Denali, zatrzymując się po drodze na piwo w bardzo klimatycznym, przydrożnym barze, obklejonym wewnątrz jednodolarówkami.

W WAC przepakowaliśmy plecaki, uzyskaliśmy zgodę na tzw. "backcountry", złapaliśmy o 18:30 darmowy autobus do mili 15 i, po przejściu kilku kilometrów, rozbiliśmy obóz pierwszy. W czasie kolacji blisko namiotu pojawił się łoś, na szczęście przyjaźnie nastawiony. Obcowanie z nim było miłym doświadczeniem.

*08.08*

Przed dziewiątą złapaliśmy autobus (*Camper bus*), który zawiózł nas do *Eielson Visitor Center*. Po drodze widzieliśmy orła, karibiu i goniącego go wilka oraz pięć muflonów.



*Karibu*



*i goniącego go wilka.*



*Na szlak przez rzekę Thorofare.*



*W kierunku góry Mount Eielson.*



*Namiot smagany jest wiatrem.*

Po zajrzeniu do centrum turystycznego i rozmowie ze strażnikiem udaliśmy się na szlak przez rzekę Thorofare w kierunku góry Mount Eielson. Ledwo przekroczyliśmy rzekę, a na zboczu góry ujrzeliśmy grizzly żerującego w krzewach jagodowych. I tak mijaliśmy się z nim trochę, czekając w czasie jego posiłków, aby nie zbliżyć się za bardzo i aby nasze drogi się nie skrzyżowały. Niedźwiedź "przebiegł" nam szlak i zniknął za wzgórzem, a my dotarliśmy tutaj, nad strumień *Intermittent Creek*. Jest bardzo wietrzny dzień i wieczór, namiot smagany jest wiatrem z każdej strony. Ja też czuję się "przewiana", choć wędrowałam z czapką na głowie.

Zjedliśmy właśnie potrawę meksykańską marki "Mountain House", którą na dostaliśmy na stopie od Bretta w drodze z Deadhorse, i powoli szykujemy się do snu...



*Droga stroma, kamienista.*



*Zdobyliśmy górę!*

**09.08, godz. 09:00**

**wciąż obóz drugi**

Wyruszyliśmy zdobyć Mt Eielson... Jest wietrzny, ale póki co słoneczny dzień...

*17:00*

Zdobyliśmy górę w południe! 1784m n.p.m. Droga stroma, kamienista. Osuwiska kamieni. Mieliśmy do zrobienia 550m przewyższenia. Widok ze szczytu - bezcenny! Góra McKinley, lodowiec Muldrow, góra Brooks, góra Mother w chmurach. Słońce. Ale silny wiatr. Na szczycie spędziliśmy około dwudziestu minut. Wiatr nas wychłodził. Po powrocie do namiotu zjedliśmy zupę fasolową i lody znanej nam już marki "Mountain House". Suche lody - to moje pierwsze takie doświadczenie, całkiem smaczne.



*Widok ze szczytu - bezcenny!*

*Dzisiaj udało nam się zdobyć szczyt Mt. Eilson (1764m npm). Podejście do naj-*

łatwiejszych nie należało. Szczególnie podejście na grań szczytową było bardzo strome. Cała góra zbudowana jest z osypujących się kamieni, mniejszych lub większych. Wejście i zejście ze szczytu oznaczało pokonanie tysiąca metrów różnicy wzniesień. Ze szczytu rozciągała się przepiękna panorama na pobliską część Alaska Range. Góra McKinley wydawała się być na wyciągnięcie ręki. Również bardzo dobrze widać było szczyt Mt. Brooks, Mt. Mather zaś pozostawała w chmurach.

Teraz byczymy się na naszym obozowisku. Zostaniemy tu jeszcze jedną noc.



Rysunek 3.1: Tak wchodziliśmy na szczyt

**10.08, godz. 16:30**

**na drodze wiodącej przez park**

Czekamy na autobus w stronę Wonder Lake. O 9:45 opuściliśmy obóz nad strumieniem *Intermittent Creek*, gdzie spędziliśmy dwie noce. Przy ujściu strumienia *Intermittent* do większego *Glacier Creek* zaskoczyła nas niedźwiedzica grizzly z dwoma małymi. Całkiem niespodziewanie dostrzegliśmy ich dopiero dwieście metrów przed nami. Żerowały w krzakach, jedząc czerwone jagody. Na szczęście były





*Zaskoczyła nas niedźwiedzica grizzly  
z dwoma małymi.*



*Jagodowy wielbiciel.*

pokojowo nastawione. Niedługo potem nad naszymi głowami ujrzeliśmy polującego złotego orła. Około 14:30 dotarliśmy do rzeki Thorofare, przed przejściem której zjedliśmy obiad (zupkę i puszkę sardynek). Po drodze spotkaliśmy wiele śladów grizzly, łosi, karibu i jednego człowieka.

Aaa.. Zaciągnęło się. Z czarnej chmury zaczął padać deszcz. Uciekajmy stąd!

17:30

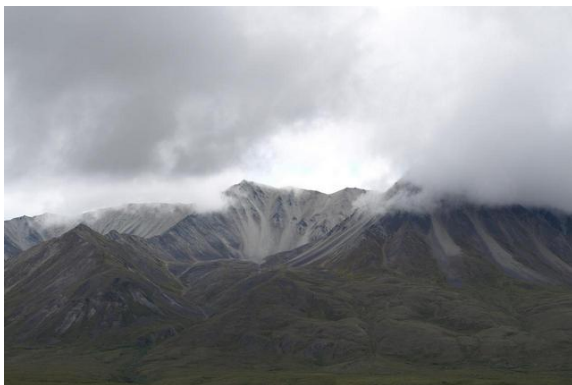
Jesteśmy w *Visitor Center*. Złapaliśmy bus i czekamy na drugi nad Wonder Lake o 18:25.

**11.08, godz. 17:00**

**Eielson Visitor Center**

Wczoraj około dwudziestej dotarliśmy nad jezioro *Wonder Lake*. Pogoda była nie za ciekawa - siąpił deszcz, a my po przedarciu się przez gęste nadjeziorne krzaki rozbiliśmy namiot, przemoknięci od pasa w dół.

Dziś rano pogoda dopisała i wybraliśmy się szlakiem "McKinley Bar Trail" nad rzekę McKinley. Jest to duża rzeka (dziś mętna), wypływająca z lodowca Muldrow. Niestety, w drodze powrotnej rozpadało się i wygląda na to, że chmury zaciągnęły na kilka dni... Postanowiliśmy wracać do WAC i jutro łapać stopa do Kenai. Zobaczyć fiordy i Pacyfik.



*Mt Eielson. Z czarnej chmury zaczął padać deszcz.*



*Szlakiem "McKinley Bar Trail" nad rzekę McKinley.*

**12.08, godz. 16:30**

### **między Cathedral Mt a Igloo Creek**

Żał opuszczać Denali. Wczoraj planowaliśmy dotrzeć do WAC, ale uczucie niedosytu spowodowało, że wysiedliśmy na pięciominutowym postoju na *Igloo Mt*, by jeszcze o dzień przedłużyć pobyt w parku.

Podczas drogi autobusem widzieliśmy dwa dorosłe grizzly obgryzające drzewa sto metrów od nas i niedźwiedzicę grizzly z dwoma małymi w okolicy Góry Katedralnej, gdzie opuściliśmy pojazd. W sumie to już dziewięć grizzly.

Po wydostaniu się z busa, szukaliśmy miejsca na namiot. Była już 19:30. W poszukiwaniu zapędziliśmy się na skałkę będącą częścią góry Igloo. W planach było zdobycie góry, ale szybko podjęliśmy decyzję, aby z niej zejść i rozbić obóz po drugiej stronie drogi, blisko *Cathedral Mt*, wyżej o sto stóp.

Dziś o 10 udaliśmy się na nią, próbując ją zdobyć. 1495m n.p.m. Udało się! Na takiej wysokości nie rosną żadne drzewa ani krzewy. Roślinność można spotkać do 1000-1100m n.p.m. Wyżej tylko kamienie, skały i osuwający się piach, czasem mech. Tutejsze góry, choć nie za wysokie, są dość trudne technicznie. Niższe partie pokryte są gęstymi krzewami, mokrymi kępami traw i mchów oraz bagnami. Wyżej dochodzi się do dużych głazów i kamieni, często osuwających się. Brak szlaków. Każdy krok wymaga koncentracji.

Teraz zjedliśmy obiad - jak zwykle zupę w proszku - i czekamy na rano. O 9:45 wybieramy się na autobus powrotny z Denali, gdzie będziemy łapać stopa do

trzeciego parku narodowego - Kenai...



*Pod Cathedral Mt.*

---

## Kenai Peninsula

---

*Jeszcze od rosy rzęsy mokre  
We mgle turkocze pierwsza bryka  
Słońce wyrusza na włóczęgę...  
(...)  
Spodnie wytarte i buty stare  
Wiatry niosą mnie na skrzydłach...  
[OKEJ]*

**16.08.2010r., godz. 18:27**

**pralnia na kempingu w Ninilchik**

Gdy to piszę, siedzę w pralni razem z Mareczkiem, pijąc piwo *Alaskan*. Ale zacznę od początku...

*13.08*

Opuszczamy rano Denali. Łapiemy autobus z *Igloo Creek* do granicy parku i po przepakowaniu plecaków udajemy się na stopa w kierunku południa. Po godzinie zatrzymuje się nam para Bułgarów - Joana i jej chłopak - i dowożą nas do miasteczka *Eagle River*. Tam postanawiamy udać się w końcu na ciepły posiłek, gdzie w przydrożnej pizzerii poznajemy miłego gościa z Minnesoty. Rozbawiony naszą historią podróży ofiarowuje nam \$10. Bierzemy, choć niezręcznie nam. Ale pieniędzy za wiele nie mamy, przydadzą się.



Po posiłku udajemy się na drogę.



Z Noah.

Po posiłku udajemy się na drogę, gdzie zatrzymujemy gościa jadącego do Anchorage. Mężczyzna okazuje się himalaistą i opowiada różne przygody górskie. Dalej jeszcze jeden trzymilowy stop, po którym zatrzymuje się nam Meksykanin Rico. Świetny chłopak, rówieśnik Marka. Bardzo dobre serce. Mimo zmęczenia i złej pogody wiezie nas do Soldatny. Jest pół godziny po północy. Rozstajemy się z nim i jego dwoma braćmi na parkingu marketu "Fred Meyer", gdzie w okolicznym lasku szukamy miejsca noclegowego. Na pożegnanie dostajemy od nich \$60.

14.08

Rano po śniadaniu w "Fredzie" łapiemy stopa na półwysep Kenai do Homer. Krótka jazda z lokalnym chłopakiem do Kasilof. Następnie zatrzymuje się nam siedemdziesięcioletni Koreańczyk Noah Yang z Kalifornii - anestezjolog. I tu zaczyna się cała trzydniowa opowieść, którą opiszę tylko w skrócie.

Podstawowe, często używane słowa przez Noah: "very dangerous", "people die", "very expensive", "big trouble", "big headache". Noah w swoich planach ma podróż do Anchor Point, ale szybko je zmienia i wybiera się z nami do Homer. Po drodze, przed Anchor Point, jedziemy do jego chatki na lunch, a następnie po łódź. Koreańczyk chciał wykorzystać naszą obecność, aby naprawić przyczepę łódki. Niestety, po zacumowaniu jej do brzegu i szukaniu w międzyczasie narzędzi, łódka zaczęła tonąć!



*Na półwysep Kenai do Homer.*



*Pojechaliśmy do domku w Anchor Point.*

To Noah zapomniał o zatyczce i do wnętrza stateczka wlało się dużo wody. Łódka tonęła, ale w górę udało się ją uratować. Zajęło to kilka godzin. Noah spieszył się bardzo na koncert muzyki orkiestry klasycznej w Soldatnie, gdzie zaproponował nam nocleg w jego drugiej chatce. Po drodze dostaliśmy studolarowy mandat za przekroczenie prędkości. Na koncert oczywiście nie zdążyliśmy... Do domku dotarliśmy godzinę przed północą, rozbiliśmy namiot i wspólnie przyrządziliśmy kolację.

15.08

Wstaliśmy o 9:30. Noah pojechał gdzieś rano, więc sami przyrządziliśmy śniadanie. W południe razem w trójkę pojechaliśmy do jego domku w Anchor Point, gdzie za posprzątanie kaplicy i przybicie kilku gwoździ dostaliśmy sto dolarów.



*Naprawa przyczepy łódki.*



*W pralni.*

16.08

Jesteśmy już zmęczeni obecnością Noah. Jest to bardzo dziwny i specyficzny człowiek. Postanawiamy rano opuścić jego chatkę i udać się do Seward, po nieprzespanej nocy (całonocne jęki siedemdziesięciolatka i pobudka o 5:00 bywają denerwujące...). Noah jest trochę zawiedziony, potrzebuje ludzi do pracy i chyba towarzystwa. Dajemy się namówić na powrót do Homer i naprawę przyczepy łódki. W drodze powrotnej jemy lunch w koreańskim motelu na koszt gospodarza i rozstajemy się w Ninilchik po różnych przygodach. Na przykład na jednym z zakrętów, które Noah nie wyrobił, łódka wylądowała w rowie. Na szczęście po kwadransie przybyła ekipa holownicza i wyciągnęła nas z rowu. Noah prosił nas, aby zostać z nim do piątku i razem zwiedzić półwysep, ale Mareczek wykończony był jego obecnością i rozstaliśmy się na kempingu, na którym pierzemy, jemy i kąpiemy się. Niedługo idziemy nad ocean szukać miejsca noclegowego, tym razem spokojniejszego... Ufff....

**18.08.2010r.**

**kemping przy Exit Glacier, Kenai Fjords National Park**

17.08

Niesamowity obrót spraw. Po opuszczeniu kempingu w Ninilchik poszliśmy nad ocean rozbić namiot. Niestety wszędzie rozstawione były znaki "No camp". Niedaleko kilka osób łowiło ryby. Podeszliśmy, aby zapytać, czy możemy postawić namiot na plaży. Szczęściarze trafiliśmy na właściciela pobliskiej chatki - Tima, który zgodził się i ofiarował nam świeżo złowionego łososia. Wykorzystując rozpalone wcześniej ogni-



*Wykorzystując rozpalone ognisko.*



*Trafiliśmy na właściciela pobliskiej chatki - Tima.*

sko, Mareczek upiekł go na kolację. Mieliśmy wypłynąć rano na halibuty, ale zerwał się silny wiatr i musieliśmy zrezygnować z tych planów. Tim ze swoim ojcem podwiózł nas do Soldatny. W miejskiej bibliotece skorzystaliśmy z internetu, toalety i ruszyliśmy dalej, w kierunku Seward.

**16.08.2010r., godz. 18:27**

### **pralnia na kempingu w Ninilchik**

Na stopie zatrzymał się nam Kenny - deweloper i po kilku minutach jazdy zaprosił nas do Sterling do swojej chatki niedaleko domu, w którym mieszkał ze swoją żoną, synem i córką nad rzeką *Moose River*. Zaproponował nam skorzystanie z kanoe, więc jak tylko dotarliśmy do chatki i rozgościliśmy się trochę, poszliśmy na pomost, zwodowaliśmy łódź i wypłynęliśmy. Droga słoneczna, ciepła, wiele ptaków (kaczek, perkozów), ryb. Wracając, spotkaliśmy Kenny'ego na łodzi motorowej. Przesiedliśmy się, przywiązaliśmy do niej kanoe i wróciliśmy. Pod domem zmieniliśmy łódź na kuter i wypłynęliśmy rzeką Kenai nad jezioro Skilak. Widoki piękne, ludzie sympatyczni. Wysiedliśmy u jednego - Froggy'ego przywitać się i obejrzeć stworzone przez niego muzeum.

*18.08*

Z samego rana obudziło nas stukanie do drzwi. To Kenny. Za godzinę, jak się pospieszymy, polecimy samolotem "Ćesna" ze Sterling do Cooper Landing. Zerwaliśmy





*Zaproponował kanoe.*



*Droga słoneczna, ciepła.*



*Na łodzi motorowej.*



*Stworzone muzeum.*





*Autostopem samolotem!*



*Z Cooper Landing.*



*Nasz trzeci park narodowy.*

się na nogi, spakowaliśmy w 45 minut. Śniadaniowe płatki owsiane jedliśmy po drodze w samochodzie. Teść Kenny'ego zabrał nas autostopem samolotem! Świetny stop. Pierwszy taki w życiu. Widoki cudne na *Kenai River*, jezioro *Skilak* i oblodzone szczyty gór.

Z Cooper Landing przejechaliśmy do lodowca *Exit* (trzy mile przed Seward) z Johnem z Północnej Karoliny. Po rozbiciu namiotu, wyruszyliśmy na krótki trekking w okolicy lodowca. Jutro wybieramy się szlakiem na jego szczyt.

**20.08, godz.17:54**

**Tonsina Point, Seward**

*19.08*

Wstaliśmy o szóstej rano, zjedliśmy płatki owsiane i ruszyliśmy na szlak wiodący do *Exit Glacier* i *Harding Icefield*. Obóz opuściliśmy o 7:45. Na kempingu no-



*Krótki trekking w okolicy lodowca.*



*ruszyliśmy na szlak wiodący do Exit Glacier.*

cowiała jeszcze tylko jedna Kanadyjka z okolic Calgary.

Droga przyjemna, choć szlak stromy, 1000m przewyższenia, niżej dużo drzew i krzewów, wyżej kamienie, śnieg i lód. Widok cudny. W drodze spotykamy jednego chłopaka z Ohio i mijamy się z nim na przemian. Szlak kończy się, ale my idziemy dalej. Dotknąć go, to znaczy jezora lodowca. Nigdy wcześniej nie widziałam tak ogromnego, błękitnego lodowca. Wiele na nim pofałdowań, "gó" i szczelin. Robi wrażenie.

W drodze powrotnej zjadamy żółty ser i sardynki. Na zboczu góry obserwujemy też czarnego niedźwiedzia.

Po obiedzie, o 18:00, opuszczamy obóz. Niżej spotykamy strażnika parku i prosimy o podwiezienie do Seward. Mężczyzna zgadza się bez problemu i po dwudziestu minutach docieramy do miasteczka. Niestety, brak tutaj miejsc kempingowych. Oczywiście darmowych, bo płatne są. Podchodzimy do pierwszego zaparkowanego

*Harding Icefield.**Dotknąć jeziora lodowca**Seward.**Tonsina Point.*

RV. Starsze małżeństwo z synem z Texasu. Ojciec to John. Pytamy, czy możemy zostawić plecaki, by udać się do marketu *Safeway* na zakupy. John proponuje, że podrzuci nas do sklepu. Po zakupach małżeństwo podrzuca nas aż do *Lowell Point*, skąd ruszamy do *Tonsina Point* rozbic obóz. Dwie mile. Docieramy na miejsce o 22, witamy trójkę obecnych wędkarzy i czarnego niedźwiedzia, który właśnie skończył łowić łososie z rzeki, rozkładamy namiot i idziemy spać.

19.08

Obudziliśmy się około 8:30. Zjedliśmy śniadanie. Przy porannej kawie odwiedzili nas poznani wieczorem Bob i Jeff z Oregonu. Po dłuższej rozmowie postanowili złowić nam łososia na lunch, rozbawieni historią złapania samolotu na autostop. Niestety, nie mieli szczęścia i po godzinie prób zrezygnowali. Postanowili ofiarować nam za to dwa jajka, chleb i ser, spakowali się, pożegnali i wyruszyli do Cooper Landing. My zaś przyrzadziliśmy sobie jajecznicę i około 14, dwie godziny po przyplywie, udaliśmy się na długi spacer wzdłuż plaży otaczającej Zatokę Zmartwychwstania,



*Postanowili złowić nam łososia.*



*Długi spacer wzdłuż plaży.*



*Zatoka Zmartwychwstania.*



*Rozpaliliśmy ognisko.*

przegryzając znalezione po drodze ostre *doritos*, zbierając muszle i wysuszone kraby.

Właśnie wróciliśmy do namiotu. Przygotowuję ciasto jagodowe z torebki”, Marcelek próbuje złowić łososia na ręcznie zrobioną wędkę, rozglądając się za policją (na to trzeba mieć pozwolenie), by usmażyć go następnie na ognisku.

Pogoda jest świetna. Słońce, lekki wiatr. Mieszkańcy półwyspu mówią, że od pierwszego lipca cały czas padało, aż do teraz, kiedy tu przybyliśmy. Niesamowite. Udaje nam się unikać brzydkiej pogody prawie cały nasz pobyt na Alasce. Napotkani nas uważają nas za zwiastunów słońca i proszą, abyśmy zostali tu dłużej, by mogli nacieszyć się ostatnimi ciepłymi promieniami. W powietrzu czuć nadchodzącą jesień...

19:00 Rozpaliliśmy ognisko. Zamiast ryby smażymy ofiarowany chleb... Tutejsze łososie są sprytne i zwinne. Przynajmniej bardziej zwinne niż nam się wydawało! Należy unikać też białych łososi. Takie ryby po reprodukcji zdychają w pobliskiej rzece.

---

# Powrót

---

*Czas nigdy nie jest tylko czasem  
Nigdy nie uda Ci się odejść bez opuszczenia części młodości  
I nasze życia są na zawsze zmienione  
Nigdy nie będziemy tacy sami  
Uwierz, uwierz we mnie...  
Życie może się zmienić, nie jesteś zatrzymany na próżno!  
Nie jesteśmy tacy sami.. dziś wieczorem jesteśmy inni..  
[Smashing Pumpkins]*

**22.08, godz. 9:00**

### **Big Lake, kemping**

Jest mglisty sierpniowy poranek. Po wczorajszym słońcu zostało tylko wspomnienie. Lekko mży. Dan i Hartson odcumowują łódź. Zaraz wypływamy na ryby. W jeziorze pływa podobno dużo pstrągów. Jesteśmy niedaleko Houston, około 50 mil na północ od Anchorage. Historia trochę zawiła...

*21.08*

Wczoraj około południa opuściliśmy Tonsina Point. Krótki stop z małżeństwem trzydziestolatków-muzyków z Homer do drogi na Exit Glacier. Stamtąd jeszcze dziesięciomilowy stop. Trochę narzekamy, że nie udało się ani razu powędkować i poznać prawdziwych, rdzennych mieszkańców. I tak mieliśmy za dużo szczęścia - kanoe, ocean, samolot, praca i darmowe obiady. Wreszcie zatrzymujemy Forda F150. Po

kilku minutach rozmowy dziewiętnastoletni kierowca Hartson okazuje się być Eskimosem z Barrow - "Inupiaq". Tak się nazywa jego naród. Jedzie z ojczymem Danem z Seward nad Big Lake łowić ryby. Po kolejnych minutach rozmowy proponują nam wspólne wędkowanie. Naszym planem było opuścić samochód 40 mil przed Anchorage, by przenocować w jakimś ładnym miejscu i w niedzielę ruszyć na lotnisko. Po-  
stanawiamy jednak jechać z nimi. Dan opłaca nam nocleg na kempingu nad jeziorem. Rozpalamy ognisko i przyrządzamy steki z kukurydzą. Dan jest typem alkoholika. Po dziesięciu piwach idzie spać do auta, a my z Hartsonem zostajemy przy ogniu. Eskimos opowiada o życiu w Barrow, polowaniu na wieloryby, rodzinie. Jego dziadkowie byli poważanymi członkami społeczności, a on sam jest bardzo dumny z tego powodu. Polowanie na wieloryby jest bardzo niebezpieczne. Na harpunach umieszcza się bomby ("pipe bomb"), które często wybuchają dużo wcześniej, na przykład w ręce. Czasem ktoś ginie. Ale Hartson Bodfish to lubi. Jak wszyscy w Barrow. My nie ukrywamy przerażenia. Przed północą idziemy spać. Hartson chodzi spać o szóstej rano, więc dopala sam zakupione drewno i o 3:30 udaje się do samochodu na nocleg.



*Proponują nam wspólne wędkowanie*

*22.08*

*ostatni dzień na Alasce..*

09:40. Odpalamy silnik łodzi. Cała czwórka zwarta i gotowa rusza na połów. Mały pstrąg złapany przez Dana został wypuszczony. Kolejny pstrąg - Mareczkowy - jest duży - około 20 cali. Trzeci z kolei (mój) jest mały, ale postanawiamy go zostawić. W łodzi znajduje się schowek na żywe ryby z dostawą tlenu.



*Gotowa rusza na połów.*



*Kolejny pstrąg - Mareczkowy - jest duży*

Około południa podpływamy na lunch do restauracji "Islander", gdzie jemy na koszt gospodarzy jajka sadzone, frytki i kawę, a od kelnerki dostajemy dwie muszle ręcznie malowane przez ojca właściciela.

Ja po wyjściu z restauracji: "Are fish still alive?"

Dan: "Yeah, they should be.. (po zajrzeniu do schowka) uuups.. they're dead!"

Tak więc po powrocie na kemping zabieramy dwie martwe ryby i składamy namiot. Po przyrządzeniu pstrągów na ogniu zauważamy, że Dan i Hartson znikają... Postanawiamy więc na własną rękę dostać się do Anchorage. Niestety przez godzinę nie możemy nic złapać. Około osiemnastej wypisujemy tabliczkę "PLEASE!!!" i zatrzymujemy drugi przejeżdżający pojazd - Jamesa z Juneau. W planach ma podróż do Wasilli, ale jest burza i zawozi nas na lotnisko. Docieramy tam pięć godzin przed odlotem. Wykorzystujemy resztki gazu na dojedzenie zapasów, zmieniamy ubrania na świeższe, krótka "kąpiel", przepakowanie i dwie godziny przez lotem udajemy się na odprawę.

Siedzę na parapecie okna przed lotniskiem. Piję kawę rozpuszczalną zakupioną jeszcze przez Noah. Szkoda, że jest bez mleczka i cukru. Tęsknię za naszym ślubnym ekspresem (a właściwie dwoma ekspresami), za jego kawą. I za naszym młynkiem do jej mielenia.

Po raz pierwszy od pięciu tygodni mamy dłuższy kontakt z cywilizacją i technologią - z dużym ruchem ulicznym, hałasem miejskim, telefonią komórkową i światłami



ulicznymi. Człowiek szybko zapomina o ich istnieniu pośród natury...

**23.08, godz. 01:00**

**gdzieś w powietrzu...**

Samolot właśnie wystartował. Anchorage-Warszawa przez Seattle, Houston i Frankfurt. Światła powoli gasną. Jest noc. Kończy się nasza podróż poślubna. Kończy się Alaska. Ostatnie światła nad Anchorage. Trzeba się pozbierać i wracać do "normalności", o ile to ludzkie zwariowane życie w pośpiechu można tak nazwać. Jeszcze trochę błąkania się po lotniskach i będziemy w Polsce.

Chociaż nie wyjechaliśmy z Alaski na dobre, tęsknię już za nią. Za poznanymi ludźmi. Za przygodami. Szalonymi. Za naturą.

*ALASKA...*  
*...is more than*  
*MEMORY...*  
*...is a piece*  
*of*  
*SOUL...*